

WIEŻA SAMOTNOŚCI

WITOLD WYRWA

CZEŚĆ PIERWSZA

I

Odkąd pamiętam, przenikało mnie palące poczucie nieprzystawania do otaczającego świata. Każdemu z nas się wydaje, że jest absolutnie wyjątkowym wytworem rzeczywistości. To taka sztuczka podświadomości, która wyciąga na wierzch najjaskrawsze odmienności w nadziei, że przysłonią one nasze bezbarwne, a jednocześnie całkiem powtarzalne osobowości. Jednak ja nawet swoją odrębność odbierałem w specyficzny sposób.

Gdy się dobrze przyjrzymy, wówczas dostrzeżemy, że tych otaczających nas, na pozór tak różnorodnych ludzi łączy lustrzana sieć wzajemnych podobieństw. Czasem są to cechy charakteru, wspólne aktywności, poglądy, dążenia, jak gdyby przyciągali się niczym atomy tworzące coraz większe mgławice pierwiastków.

Mnie nic nie przyciągało. Przeciwnie, każda interakcja międzyludzka powodowała niechęć, którą odczuwałem dosłownie w ciele. Na samą myśl o tym, żeby robić coś z innymi ludźmi, miałem ochotę brać nogi za pas i biec tak długo, aż znajdę jakąś bezpieczną dziuplę. Nie wiem, skąd ten wstręt. Jest wyolbrzymiony, absurdalny, jak gdyby przeniesiony z poprzedniego wcielenia, niestety bez świadomości, co ludzie mi uczynili, że tak bardzo ich znienawidziłem. Niemniej odkąd sięgam pamięcią, jest we mnie i zapewne przeżyłbym życie zupełnie sam, gdyby nie przypadkowe spotkanie na dachu wieżowca pewnej znamiennej nocy.

Tak czy inaczej, za młodu większość ferajny kopła piłkę, bawiła się w chowanego albo uprawiała podobne, mniej lub bardziej społeczne gry. Ja już wówczas byłem odmińcem. Gdy

te wszystkie pędraki jeździły na rowerkach, wisiały na trzepach czy brały udział w jakichś innych grupowych zabawach, ja przemykałem obok nich i szedłem do pobliskiego lasu, by tam podglądać przyrodę. Miałem lupę, lornetkę oraz zestaw do rozczłonkowania martwych organizmów i z jakąś niezdrową ciekawością wkraczałem w to życie, którego większość ludzi w ogóle nie zauważa. Obserwowałem wszystko, co się porusza – od pełzających, przez skaczące, aż po latające istnienia. Starałem się dostrzec logikę w szlakach mrówek. Pochylałem się nad syzyfowym heroizmem żuków. Podglądałem pożycie płciowe kowali bezskrzydłych. Podążałem za szelestem liści powodowanym czasem przez kosa, innym razem przez wieiórkę, by po chwili wpaść w zachwyt nad lekkością motyli.

Z fascynacją wpatrywałem się w to życie, lecz nie mogłem jej uświadczyc wobec własnego gatunku. Ludzie mają niezachwiane przekonanie o swojej wyjątkowości, jednak gdy się przyjrzeć tym wszystkim organizmom, wówczas dostrzeżemy, że otaczają nas setki miliardów światów ze swoim porządkiem i logiką. Te stworzenia również mają pragnienia, dążenia, zatargi, a może nawet miłości i marzenia. To tylko człowiekowi, i to każdemu z osobna, wydaje się, że jego życie jest najważniejsze, że cały wszechświat istnieje tylko po to, aby on mógł pójść do pracy, kupić w piekarni chleb i wieczorem zjeść kanapkę z pasztetem.

Jak daleko sięgnę pamięcią, zawsze byłem człowiekiem, który niezmordowanie poszukuje w sobie błędu. On tam jest i prawdopodobnie już go nie odnajdę. Choć, prawdę powiedziawszy, czasem nachodzi mnie jakieś niewytłumaczalne przeświadczenie, że gdzieś bardzo głęboko wiem, na czym ów błąd polega. Właściwiej zatem nazwać ten stan konfliktem, gdyż na powierzchni poszukuję, lecz w głębi chronię niczym tkliwą zadrę. Dziś już nie potrafię stwierdzić, jak powstał ani czemu go tak żarliwie strzegę.

Za każdym razem, gdy ktoś się do niego zbliża, moje ciało tężeje, przeszyte obezwładniającym strachem, jak gdyby nadchodziło coś więcej niż śmierć, jakieś niewyobrażalne cierpienie, katusze straszniejsze od tych z piekielnych czeluści.

Często mam także wrażenie, że moje życie to zlepek krótkometrażowych filmów, parę scen, które mieszają się ze sobą za każdym razem w nieco innej konstelacji. Nieraz mam problem, by z niezachwianą pewnością ustalić ciąg przyczyn i skutków, który sprawił, że utknąłem w wieży mojej samotności. Niemniej, jeśli czegoś jestem pewien, to tego, że właśnie samotność i wyobcowanie zapoczątkowały wszystko, co mnie w życiu spotkało.

To przyglądanie się innym istotom uświadomiło mi, że nie ma na Ziemi ani jednej formy życia, która czułaby się tak bardzo osamotniona jak ja, gdyż nawet przebywając wśród ludzi, byłem jakby obok nich, pomimo nich, ponad nimi, przeciw nim, jednak nigdy z nimi. Cała ludzkość – tak różnorodna i nijaka zarazem – przyciągała mnie i odstręczała z jakąś niezrozumiałą siłą. Nigdy nie miałem poczucia, że do niej przynależę. Reagowałem alergicznie bez względu na to, czy druga strona miała dobre, czy złe intencje. Tak jakby dobrowolne podjęcie jakiejkolwiek interakcji z innym człowiekiem naruszało moją wewnętrzną integralność.

Oni nie należeli do mojego stada, uważałem się za apatrydę w najwyższej formie, choć prawdziwa duma z tego miana wypełniła moją pierś dopiero wtedy, gdy jako student Akademii Sztuk Pięknych spotkałem ludzi, którzy niespodziewanie sprawili, że mój parszywy świat zaczął mienić się barwami niezapomnianej przygody.

Moje podglądactwo w pewnym momencie uświadomiło mi, że podobnie jak ja obserwuję robaki, tak i mnie ktoś może podglądać. Mimo tego ekstremalnego wyobcowania wciąż miałem absurdalne poczucie, że ktoś jest blisko mnie i uparcie mi się przygląda.

Zdarzało się, że na myśl o tej bezczelnej inwigilacji aż cierpła mi skóra.

Uroilem sobie, że Bóg wcale nie musi stać nad Ziemią, trzymając w ręku wielką lupę, by móc mi się przyjrzeć. Miałem autentyczne przeświadczenie, że bez żadnego wysiłku jest w stanie zobaczyć świat moimi oczami, usłyszeć każdy dźwięk, który dociera do mych uszu, a co najgorsze, ma dostęp do wszystkich myśli, które nawiedzały mój neurotyczny czerep. Przerażało mnie to nie na żarty. Często kulilem się w łóżku, zakrywając kołdrą, niestrudzenie wyprasając wszelkie fantazje.

Niekiedy mi się to udawało i trafiałem do nieopisanego miejsca, do jakiejś bezmiernej przestrzeni, pełnej niezachwianego spokoju. To doświadczenie wprawiało mnie w poczucie osobliwego odklejenia od tego świata, a nawet od własnej jaźni. Niestety zdarzało się to rzadko i zdecydowaną większość życia miałem Bogu za złe, że mnie podgląda, jak tego owada, w dodatku jest dużo sprawniejszy w tym szpiegowskim procederze i nie sposób się przed nim ukryć.

Jeśli miałbym być szczery, to moje usposobienie wynikało w dużej mierze ze strachu. Bałem się wszystkich – chłopaków, dziewczyn, mniejszych i większych, lecz na szczycie tej piramidy bojaźliwości znajdowały się chłopaki w moim wieku, bo w każdej takiej podwórkowej lub szkolnej bandzie zawsze był jakiś herszt i tenże herszt, żeby zaznaczyć swoje przywództwo, musiał się nad kimś poznęcać. Może nie pobić do nieprzytomności, może nie zabić, ale strzelić kulą grochu w łydkę, podstawić nogę albo zwyczajnie popchnąć na ścianę i wymierzyć kilka kuksańców.

Szczerze nienawidziłem każdego małego padalca, który dla hecy pastwił się nade mną. Za każdym razem, gdy pojawiał się ktoś taki na mojej drodze, ścisnęło mnie w podbrzuszu, jak gdyby ktoś mnie, za przeproszeniem, za jajca chwycił i chciał wyrwać

wnętrznosci na zewnątrz. Może to nic takiego, pewnie każdy musiał się z takowym padalcem zmierzyć.

Ludzkość, mimo że składa się z miliardów małych cząsteczek, jest jedną kleistą mazią, z której nie sposób się wyrwać. Do dziś nie jestem w stanie pojąć, czemu jedni ludzie nie mogą zostawić w spokoju innych. Cała historia człowieka to przecież jedno wielkie nacieranie na siebie rozgorączkowanych mas w celu zmuszenia jednych do woli drugich. A to w imię Boga, a to w imię narodu albo jakiejś idei, która akurat masą ludzką zawładnęła. Nieustannie musimy na siebie napierać, ścierać się, walczyć ze sobą. Mnie się to od początku w głowie nie mieściło, czemu nie potrafimy się od siebie zwyczajnie odczepić. Co jest w tym takiego trudnego, by zaakceptować fakt, że inni ludzie żyją według własnych zasad?

Tak czy owak, już jako dziecko pojąłem, że wydostanie się z tego bagna jest czymś praktycznie niemożliwym. Mój Padalec utwierdzał mnie w tym z właściwą sobie chora satysfakcją. Kiedyś wydawało mi się, że było ich kilku, niemniej jeden uwziął się na mnie z niezwykłą zjadłością. Tą afektowaną przemocą niejako obwieszczał pozostałym oprawcom, że tylko on ma prawo się nade mną pastwić. Nie każdy jest na tyle charakterny, by się postawić. A jak się nie postawisz, to po tobie – nikt cię nie będzie szanował, dopóki nie skończysz tej przeklętej szkoły. Choć jeśli mam być całkiem szczery, to muszę przyznać, że nie istnieje sytuacja, z której jest tylko jedno wyjście. Zawsze masz jakiś wybór, nie zawsze łatwy, wręcz przeciwnie, zwykle właściwa decyzja to ta, która wymaga większego poświęcenia.

Pierwsza opcja to poruszanie się w taki sposób, by jak najrzadziej wpadać na padalca. Drugi sposób jest nieco bardziej wymagający i polega na tym, by zrobić coś heroicznego. Gdy zostałeś społecznie zatwierdzony jako popychadło, nie wystarczy zwykłe przeciwstawienie się słowem. Mam na myśli to, że werbalne

zakomunikowanie gnębicielowi, że nie będziesz dłużej zaspokajać jego sadystycznych potrzeb, jest dalece nieskuteczne. To nie ma prawa zadziałać, wcale nie dlatego, że twój oprawca nie zrozumie komunikatu, ale dlatego, że straciłby najcenniejszego niewolnika. To tak samo jak jakiś cesarz czy wezyr nie odda dobrowolnie ze swojego haremu najlepszej nałożnicy. Dla mojego Padalca taką nałożnicą byłem ja, a jedyną możliwość opuszczenia jego haremu stanowiło zastosowanie dosyć brutalnej formy przemocy fizycznej.

Pierwsze wyjście jest oczywiście nieskuteczne, bo to bydle, gdy tylko pojawisz się na jego orbicie, zaczyna rozkminiać, jakiego figla ci dziś sprawi. I nawet gdy idziesz w innym kierunku, a jemu wpadnie do głowy jakiś genialny sposób na upokorzenie cię, to nie ma siły, żeby gnojka powstrzymać. Gdy takiej kreaturze wpadnie coś raz do łba, to po tobie, bracie. Oczywiście są moce, które potrafią odwlec szafot, na przykład nauczycielka przechodząca w nieodpowiednim miejscu albo jakiś inny dorosły, który przyplącze się nieproszony. W rzeczywistości to pogarsza całą sprawę, bo paradoksalnie lepiej, by padalec spełnił swoją fantazję, a ta uleciała wraz z jego satysfakcją, albowiem jeśli takowej nie osiągnie, wówczas niezaspokojony apetyt będzie nawiedzać jego zwyrodniały umysł, a tym samym pęcznieć, rozszerzać się o nowe perwersje, co w rezultacie doprowadzi do tego, że zwykły kuksaniec może przerodzić się w wymyślną torturę.

Druga opcja z kolei wiąże się z konsekwencjami karnymi. Oczywiście takiego podlotka w mamrze od razu nie zamkną, ale, tak czy owak, trwałe rozwalenie komuś czachy prowadzi do przykrych reperkusji, nawet gdy się chodzi do podstawówki.

Czemu nie wybrałem bramki numer dwa? Przez ten ścisk w podbrzuszu. Może ktoś uzna, że porównanie do ciągnięcia za przyrodzenie to tanie efekciarstwo, ale tak właśnie czułem.

Jakby moje jądra były przymocowane do splotu drutów kolczastych, za które ciągnęła niewidzialna siła, raniąc wnętrzności, gdy tylko pojawiało się zagrożenie. Czasem mój Padalec nawet nie znajdował się jeszcze w zasięgu wzroku, a ja już go podświadomie tym ściskiem wyczuwałem. Nieraz w myślach skórowałem tego małego zwyrodnialca, ale nigdy nie starczyło mi odwagi, by mu się przeciwstawić. Obmyślałem całkiem realistyczne plany. Pod powiekami roily mi się wizje najokrutniejszych kazań, ale gdy przychodziło co do czego, zawsze ten paraliżujący strach obzwładniał mnie na tyle, że ledwo mogłem wydusić z siebie słowa sprzeciwu, nie mówiąc już o prawdziwym działaniu.

Matka uważała, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje. To mi się w głowie nie mieściło. Już jako dzieciak wiedziałem, że powtarza jakieś dyrdymały, które zasłyszala w kościele. Nie wyprowadzałem jej z błędu, bo to moje wyobcowanie najczęściej objawiało się milczeniem i wytrwałym unikaniem wszelakich dyskusji. Nie chcę robić z siebie jakiegoś geniusza, ale dziś, jako doświadczony artysta, bez nadmiernej skromności przyznam, że już jako dziecko miałem doskonały zmysł obserwacji, który z kolei stanowi najważniejszy przymiot wybitnego twórcy. Możesz mieć świetny warsztat, ale bez celnych obserwacji oraz umiejętności ich kreatywnego przetworzenia nigdy nie będziesz wielkim artystą. Ja już wówczas zauważałem rzeczy takie, jakimi są. Słuchałem, jak matka kłóci się z ojcem i – mimo młodego wieku – potrafiłem wyciągnąć logiczne wnioski, że te ich utarczki nie mają nic wspólnego z dążeniem do prawdy czy wypracowaniem porozumienia, a są jedynie nakłanianiem drugiego człowieka do własnej woli.

Matkę cechowała nadgorliwa religijność. Ojciec w tym względzie wykazywał spory dystans. Niemniej z tych kilku w miarę niewinnych dyskusji dotyczących Kościoła, wywnioskowałem,

że matka to dewotka. Wówczas nie znałem tego słowa, natomiast wyczuwałem pewną kategoryczność w jej tonie, bo dobry obserwator przetwarza wszystko więcej niż jednym zmysłem. Weźmy takiego Chełmońskiego i któryś z jego wiejskich krajobrazów – gdy objąć go li tylko wzrokiem, jest po prostu płaski, to jakaś zwykła scenka rodzajowa sprzed dwustu lat. Jednak jeśli wypełnimy go wszystkimi zmysłami, wówczas usłyszymy śpiew ptaków, poczujemy ruch wiatru, zapach skoszonej trawy. Opłotą nas dźwięki melodii granej przez młodego pastuszka i odgłosy pilnowanych przezeń owiec.

Takie odczuwanie sprawia, że obraz staje się wielowymiarowy, pełen życia, bogaty w emocje. I gdy myślę o swoim malarstwie, to mam poczucie, że zawsze dążyłem do tego, by miało więcej niż jeden wymiar. Jako dziecko nauczyłem się, że używając nie tylko zmysłu właściwego, lecz także całego spektrum dostępnego człowiekowi, jesteśmy w stanie dostrzec rzeczywistą prawdę. Dlatego już wtedy czułem, że matka dopuszcza tylko swoją wersję Boga i czego bym nie powiedział, ona i tak zostanie przy swoim. Jednocześnie doszedłem do wniosku, że w tym wszystkim brakuje spójności. Bo skoro Bóg stworzył nas, ludzi, na swoje podobieństwo, to przecież oznacza to, że jest taką ciapą, za jaką ja się uważałem, a idąc dalej tym tropem – musiał być także tym zwyrodniałym Padalcem, który się nade mną pastwił.

Tego oczywiście matce nie mogłem powiedzieć, bo za takie bluźnierstwo wykręciłaby mi uszy do czerwoności. Niemniej z perspektywy czasu wydaje mi się, że w bardzo wczesnym wieku zastanawiała mnie natura świata, ta ciekawość jest arcyście równie potrzebna co zmysł obserwacji. Potrafi być tak samo fascynująca, co niszcząca, gdyż w pewnym momencie pojawia się bezsilność i przemożna frustracja, że jesteś jako ta mrówka, która nie jest w stanie dostrzec klęczącego nad nią olbrzymia. Chęć

zmierzenia się z absolutem to coś, co niejednego artystę pchnęło w ramiona obłądu.

II

Wprowadziliśmy się na ledwie wybudowane osiedle. Szesnastopiętrowe *perełki* komunistycznej architektury wyrastały bezdusznym betonem z wiotkich pól uprawnych jak grzyby po atomowym deszczu. Jeszcze chodniki nie zostały położone, nowi mieszkańcy musieli zaś omijać błotniste wgłębienia bądź chodzić po niechlujnie rzuconych przez robotników deskach, a mój Padalec już tam był. Tak jakby od zawsze na mnie czekał. Pamiętam dużą ciężarówkę i jakichś mężczyzn noszących meble. Ja nie miałem nic do roboty i chyba bez celu grzebałem patykiem w piasku. Wyczułem czyjąś obecność, spojrzałem w jej kierunku i wówczas dostrzegłem go po raz pierwszy.

Wyglądał tak, jakby stał tam długo i wyczekiwał, aż zwrócę wzrok w jego stronę. Przeszył mnie tymi szarymi, lecz płomiennymi żrenicami, aż plecy ściągnął mi dreszcz i po raz pierwszy poczułem ten ścisk w podbrzuszu. Wyciągnął palec w moją stronę, ozdabiając ten gest sadystycznym uśmiechem. Złękniiony odruchowo zacząłem szukać matki, lecz nie znalazłem jej. Gdy spojrzałem ponownie w tamtym kierunku, zniknął, jakby rozpułnął się w powietrzu, lecz pozostawił po sobie niewidoczne znamię strachu. Palącą zadrę, która miała się jątrzyć, odmierzając czas do dnia, w którym wyrwie mi serce.

Wcześniej mieszkaliśmy u dziadków na wsi, ale tego świata właściwie nie pamiętam. Mam w głowie jakieś urywki niczym zdjęcia w kuchni wiszące obok lodówki, jak gdyby pochodzące z innego, obcego wręcz życia. W ogóle tej dziadkowej chałupy nie pamiętam. Nic – ani zapachów, ani rozkładu pomieszczeń – przypominam

sobie tylko ogród z najśłodszymi na świecie truskawkami i pysznym zielonym groszkiem, bo te truskawki i ten groszek wcinałem jak landrynki. Przestrzeń wkoło zalewały pola, złote i tak idyllicznie szeleszczące niczym morskie fale. Tak, to zapamiętałem, jakby nic tam więcej nie było, jakoby ten dom bezkształtny dryfował sielsko niczym łódź unosząca się na bezkresnym morzu złocistych pól. Wszechogarniające światło migotliwych kłosów i na nich ta stara chata falująca w hipnotycznym transie.

Nigdy nie jestem pewien prawdziwości tych obrazów. W każdym wspomnieniu wszystko zdaje się zupełnie inne. Kuchnia raz mała, z nieco obskurnym piecem o białych kafłach i tłustych plamach na żeliwnej płycie; innym razem przestronna, urządzona stylowymi meblami, z wielkim stołem pełnym płodów rolnych. Salon raz wytworny z przedwojennym sznytem, raz ciemny i biedny jak w najgorszej norze. Nic, czarna dziura, jakbym ten dom za każdym razem od nowa malował. Tylko strych z tymi starymi szarymi drzwiami, za którymi kryje się nieskończona ciemność, jest zawsze taki sam.

Co innego blokowisko. To jestem w stanie przywołać bez najmniejszych problemów. Wielkie betonowe płyty nierówno wtopione w ziemię i przejeżdżające po nich charkliwe ciężarówki, budowlancy z nalanymi, kostropatymi głębami, żrący kanapki z metką brudnymi łapskami. Pamiętam mężczyzn i kobiety, którzy się tam wprowadzali, choć pod pierzyną czasu wszyscy wydają mi się beznamiętnymi manekinami. Kobiety to manekiny w szarych prochowcach z wcięciem w talii, mężczyźni – bez wcięcia. Przemierzają w mych wspomnieniach błotniste podwórka na tle monstrualnych bloków przytłoczonych antracytem chmur. To ludzie bez twarzy, tak jak gdyby ktoś wypalił je na zdjęciu papierosem.

Ogólnie cały ten świat to jakaś jedna wielka szarość w nieskończenie wielu odcieniach. Spadła na mnie i przesiąknąwszy

do wewnątrz, ukształtowała dużo silniej niż ten zapomniany dom dziadkowy, który metaforycznie i dosłownie został zgładzony przez ten bezduszny mrok. Tak jakby z nieba spadł deszcz betonowych płyt i to falujące, złociste morze zbóż bezpowrotnie unicestwił. Zdaję sobie sprawę z tego, że to nierealne, ale tak to właśnie zapamiętałam. Jak gdyby cała armia buldożerów, piaskarek i spychaczy najechała bukoliczne pagórki, wyrównała je, a pośrodku tego beznamietnego placu wykopała wielki dół. To w tej bezmiernej wyrwie niebawem miały powstać fundamenty pod wieżę mojej samotności, w której dziś snuję tę opowieść.

III

Nie ma co ukrywać – po prostu boję się szczęścia. Jestem tym rzadkim przypadkiem rozumnego człowieka, który pojął, że to przerażająca rzecz. Bo czym tak właściwie ono jest? Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to jakiś długotrwały stan upojnego spokoju, niewymuszony, niezakłócany, naturalny wręcz. Jeśli mam być szczery, to ta definicja bardziej pasuje do śmierci niż do szczęścia. To właśnie ta, przed którą wszyscy drżą, jest według mnie tym niezachwianym, ekstatycznym wręcz spokojem, którego od lat całych pragnę. Szczęśliwość za to jest największą błagą wszech czasów. Kłamstwem potrzebnym nam, żeby nie zwariować. Ucieczką przed rzeczywistością, która pozbawiona tej złudnej obietnicy stałaby się najwymyślniejszą torturą. Jakże chciałbym być jednym z tych naiwniaków, którzy mają to irracjonalne przeświadczenie, że w końcu nadejdzie dzień, w którym wszystko się odmieni. Pragnąłbym wierzyć w to, że kiedyś spojrzy na mnie jakaś kobieta i pokoloruje swym uśmiechem moje życie. Wpadniemy sobie w ramiona, przeżyjemy upojne lato, podczas którego będziemy nieustannie kopulować i jeść truskawki ze śmietaną posypaną

cukrem. Chodzilibyśmy do kina i na spacery aż do późnej jesieni. Zimą zaś czytaliibyśmy książki, ogrzewając się ciepłymi, śpiącymi na kolanach kotami. Każdy kiedyś słyszał podobne banialuki i są ludzie, nawet całkiem dojrzały, którzy w te fantasmagorie wierzą. Ja za to od dzieciństwa wiedziałem, że coś w tym śmierdzi. Te wszystkie fiołki, róże, nenufary, które wyzierają gęstym zapachem z tej idylli, są wręcz mdlące. Mnie się literalnie unosi, gdy o tym pomyślę. O tych czułych słówkach na dobranoc, o tych przytulaskach i śniadankach w blasku wschodzącego słońca. Obrzydlistwo, zwyczajne obrzydlistwo! Nie da się tego inaczej określić.

W rzeczywistości szczęście to jeden wielki miraż – każdy go pragnie, a nikt nie jest w stanie dogonić. Tak naprawdę całą maskaradę, którą ludzkość tworzy wokół tej utopii, unaocznili mi moi starzy. Już jako dzieciak zastanawiałem się, jak to się stało, że tych dwoje wzięło ślub. Towarzyszyło temu zdziwienie, nie jakieś zwykłe, ale takie do kwadratu. Coś, co przy największych wysiłkach przekraczało moje możliwości poznania. Śmiałem nawet twierdzić, że nie tylko moja, lecz także cięższe głowy nie dałyby temu rady, albowiem moi starzy to była para posągów. Matka wyglądała, jakby miała dwie twarze. Jedna nosiła rysy statecznej i opanowanej Hery, mieściła w sobie surową godność i powagę, które w ułamku sekundy potrafiły eksplodować. Chodziła po domu i szukała, o co by tu się przyczepić. Jak w końcu znalazła, to z pomnika Hery zmieniała się w którąś z Erynii, w mścicielkę Tyzyfona zapewne. Wówczas powagę trafiał szlag. Jej włosy zamieniały się w węże, z oczu biły złowrogie gromy, a jama ustna zaczynała przeobrażać się w otwór gębowy Saturna z obrazu Goi.

Stary z kolei przypominał te głowy z Wyspy Wielkanocnej. Pośrodku oceanu zazwyczaj mocno wieje, deszcz zasuwa prosto w twarz, fale, sztormy, huragany, a te kolosy trwają zupełnie nie wzruszone. Mimo wszelkich kataklizmów one stoją, tak jak stały,

i w dodatku nikt nie wie, kto je tam postawił. To dokładnie wypisz wymaluj mój stary, który miał całe życie jedną i tę samą minę. Jeśli coś ich łączyło, to właśnie ta posągowa zależność, w takim sensie, że matka miała głębę jak huragan, a im bardziej tenże się wzmaczał, tym widoczniesze stawało się nieporuszenie starego.

A tak trochę poważniej mówiąc, oprócz tego, że jest w tym całym sporo prawdy, to moi rodzice rzeczywiście dali mi już w stosunkowo wczesnym wieku sporo do myślenia. Nie trzeba w końcu być nie wiadomo jak dorosłym czy spostrzegawczym, żeby dostrzec, że między moimi starymi ewidentnie coś nie zagrało. Mimo że nie wyrosłem ponad stół, doskonale wiedziałem, że coś w tym szczęściu śmierdzi. I nie powiem, że rozgryzłem to z dnia na dzień, ale męczyło mnie to niemożliwie. Chodziło za mną jak głodny kundel, pewnie dlatego, że ta kamienna gębusia starego co dzień biła mnie po oczach. Nie śmieję się zbyt często, praktycznie wcale, ale jeśli coś mnie śmieszy, to wyraz twarzy mojego ojca i ta analogia, która przysłała mi do głowy wiele lat później, gdy interesowała mnie już sztuka.

Matka: Nie mamy pieniędzy!

Stary: Posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Matka: Mleko nieświeże nam przynieśli!

Stary: Posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Matka: Wszystkim się żyje lepiej od nas!

Stary: Posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Matka: Że też za takiego nieudacznika wysłałam.

Stary: Posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Matka: Wywała wszystkie nagromadzone miesiącami frustracje i żale.

Stary: Posąg z Wyspy Wielkanocnej.

Nieważne, jakie huragany napierały na ojca, on przyjmował je z równym spokojem. Nawet w trumnie miał taki wyraz twarzy,

jakby go to w ogóle nie obeszło. Stary musiał być jakimś stoickim mistrzem, bo inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. I pewnie nigdy bym się nie skapnął, że jest w stanie zrobić jakąś inną minę, gdyby nie pewna sytuacja, podczas której na jego twarzy zagościł uśmiech. Do owego zdarzenia doszło, gdy już poszedłem do tej śmierdzącej, przepełnionej półmózgami szkoły. Facetka od techniki kazała nam zrobić wiatraki, takie na kij, co się kręca, gdy dmuchniesz. Ojciec posiadał prawdziwy dar – większość rzeczy, które mieliśmy w domu, stanowiło dzieło jego rąk. Ten wiatrak stał się dla mnie czymś wyjątkowym. Jestem pewien, że z czasem zyskał więcej cnót, niż ich w rzeczywistości miał i urosł w mojej wyobraźni do niebotycznych rozmiarów, gdyż dla takiego dzieciaka było to wydarzenie wręcz magiczne. Pamiętam te różnokolorowe kamyki, które ojciec jakimś sposobem do tegoż wiatraka przymocował. To naprawdę musiała być jakaś niepowtarzalna chwila, bo z dzieciństwa nie pamiętam zbyt wiele.

Sklecieliśmy w sumie dwa egzemplarze – jeden mój, drugi jego. On mi pokazywał, co i jak, a ja mniej lub bardziej udolnie starałem się to powtórzyć. Zapewne zapamiętałem tę sytuację jako niezwykłą, gdyż była to jedna z niewielu chwil, gdy zajmowaliśmy się czymś wspólnie. W mojej rodzinie niczego się nie robiło razem. Podczas obiadu łączył nas jedynie stół, nad którym wisiała grobowa cisza – sporadycznie rozcinana przez przeciąg. Nawet w Boże Narodzenie zwierzęta przemawiają ludzkim głosem, ale nie my. A w sylwestra, jak wszyscy się obściskują i składają sobie życzenia, to myśmy gapili się na fajerwerki jak trzy posągi stojące obok siebie, po czym wracaliśmy do środka, żeby tam uprawiać dalsze posągowanie. Odrobienie zadania domowego z techniki to jedna z niewielu rzeczy, które zrobiliśmy rzeczywiście razem, a nie każdy z osobna, tyle że obok siebie.

To zdarzenie zajmuje w moim sercu szczególne miejsce także z innego powodu, a mianowicie na własne oczy ujrzałem, jak z niczego stworzyć coś. Ojciec wziął jakieś patyki, blok techniczny, kilka kamyków, śrubkę, klej, farbki i z tego sklecił coś więcej niż głupią zabawkę – on sprawił, że na moich oczach zaczęła dziać się magia. Połączył pozornie niepasujące do siebie rzeczy, wyszeptał zaklęcie, a następnie tchnął w martwy przedmiot nadrzędnego ducha. Zgasił górne światło, zapalił lampkę i skierował jej strumień na wiatrak, który dmuchnięciem wprowadził w ruch. W ułamku sekundy światło przechodzące przez kolorowe kamyczki zaczęło rozświetlać niezwykłością beznamiętną na co dzień przestrzeń, przenosząc na kilka chwil salon z peerelowskiego wieżowca gdzieś do pnia wielkiego uschniętego dębu, w którym stary druid dokonuje swych alchemicznych eksperymentów. Z całego dzieciństwa pamiętam tylko to jedno wyjątkowe zdarzenie: czarodziejską feerię barw tańczącą pod nasze dyktando i ten moment, gdy w zachwycie uśmiechnąłem się do ojca, a on złapał tę moją promienność i ją odwzajemnił. Zachowałem jego na wskroś wzruszone spojrzenie. Tak jakby już stracił nadzieję, że kiedykolwiek się uśmiechnie, aż tu nagle spadła ta chwila tak niespodziewana niczym dar z niebios zesłany ptaszkowi, który już zapomniał, jak to jest latać.

Nie pamiętam już, co się wydarzyło potem, czy wspiął się na wyżyny swojej czułości i mnie przytulił, czy tak jak umykały kolorowe światła na ścianie, podobnie znikła radość z jego twarzy. Całe wspomnienie urywa się na uśmiechu i tym jakimś nadzwyczajnym w jego wykonaniu wzruszeniu. Dziś wydaje mi się, że to przez ten wiatrak zostałem artystą. Właśnie dzięki temu, że ojciec pokazał mi, jak zrobić coś z niczego. Jednocześnie stary się obnażył, zdradzając, że ma do dyspozycji inne wyrazy twarzy niż mina posągu z Wyspy Wielkanocnej. Drążyło to w mojej głowie dziurę przez wiele lat. Bo za tym ojcowym rozpromienieniem kryła się

jedna wielka demaskacja i przyznanie się do winy, które nie dawało mi spokoju. To niewymuszone rozradowanie dyskredytowało posągowość starego po całości. Tak właśnie rozpoczął się mój osobisty proces dekonspiracji szczęścia. Bo skoro stary umiał się śmiać, ale tego nie robił, to oznaczało to, że śmiać się nie chciał albo tę umiejętność zwyczajnie zatracił. A skoro tak, to pytanie brzmiało: jak do tego doszło?

Gdy patrzyłem na tych moich starych, niejednokrotnie nachodziło mnie przemożne zdumienie: jak oni mnie w ogóle zrobili? Jakim sposobem te dwie beznamietne skamieliny wymieniły płynny płciowe? To przecież aż takie proste nie jest. Wężowa Erynia i Głowa z Wyspy Wielkanocnej w kopulacyjnym uścisku! To chyba temat dla Berniniego, ja jestem za cienki w uszach, żeby takie coś namalować. Wyobrażnię mam, nawet powiedziałbym *zabójczą*, ale tego za żadne skarby wyobrazić sobie nie potrafię.

Niemniej właśnie dzięki moim rodzicom zrozumiałem, że szczęście to jedna wielka blaga. Bo przecież w życiu każdego faceta przychodzi dzień, że idzie sobie ulicą lub wchodzi do baru, a tam stoi kobita, posyła mu spojrzenie i nagle rozstępują się niebiosy i jak się Amor zza chmury nie wyłoni, jak chłop strzałą nie dziabnie, to po chłopie, rozum stracił, chłop nie ma! Jest za to miłość, a przynajmniej zakochanie. I to właśnie do mnie dotarło, że za tą kamienną gębusią kryje się fajny gość. Przypuszczałem nawet, że stary miał właśnie tę minę głowy z Wyspy Wielkanocnej, w momencie gdy ugodziła go strzała Amora, i tak bidulkowi zostało, ale później doszedłem do wniosku, że to mało prawdopodobne.

Ojciec musiał przecież kiedyś być normalnym chłopakiem, co miał w kieszeni kilka marzeń, w sercu nosił garść nadziei, w dłoniach dzierżył parę planów na życie. Coś musiało go fascynować, czegoś musiał się obawiać i z czegoś cieszyć. Nikt, nawet ja, nie

rodzi się z posągową głową. Stary musiał zatracić zdolność do uśmiechania się. Nie wiem, co go spotkało. W sumie pracę miał, żonę też, nie był nazbyt brzydki, ale co ja tam wiem. Tak jak każdy, coś mógł mniej, coś bardziej, a jednak na zewnątrz przypominał człowieka nieszczęśliwego.

Pół życia spędził w piwnicy, w której miał miniwarsztat, gdzie siedział i dłubał. Często go podglądałem, wyobrażając sobie, że to nasza tajemna baza, choć wiedziałem o niej tylko ja. Kiedyś ukradłem matce klucz i jak ojciec szedł pomajsterkować, to chciałem się przed nim wymykałem. Schodziłem do podziemi wieży mojej samotności, włożyłem na górną półkę w szafie i stamtąd go obserwowałem. Gdy się spóźniłem, zostawała jeszcze szpara między płytami, które imitowały ścianę. Ja, podobnie jak on, nie chciałem słuchać zrzędzenia matki, w dodatku bałem się Padalca, dlatego piwnica stanowiła idealny schron dla nas obydwu. Stary miał swoje radyjko na kasety. Coś tam brzdękało, ojciec sobie klepał, nucił pod nosem, czasem sam ze sobą pykał w szachy i fajno było. Mimo że to pomieszczenie przestronnością nie grzeszyło, to jednak nie dało mu się odmówić osobistego uroku.

Ojcu pomimo tej posągowej mimiki nie brakowało zaradności. Może to określenie go jako nieczułej bryły przywodzi na myśl jakąś gamoniowatość, ale nic z tych rzeczy, a raczej nie do końca. Stary odznaczał się wirtuozerią, ale tylko w piwnicy. Dopiero jak majsterkował, zaczynał żyć. Umiał zrobić każdą rzecz. Wszyscy sąsiedzi do niego przychodzili. A to komuś noga w krześle pękła, ktoś inny chciał szafkę na wymiar – ciżba waliła do starego i on zawsze wiedział, jak zaradzić. Zapewne dzięki temu żyło nam się nie najgorzej, bo z tych robótek zwykle trochę grosza wpadało. Często też robił rzeczy dla siebie – a to karmnik dla ptaków, to coś sobie wyrzeźbił. Właściwie na każdej półce w domu stała rzeźba jego autorstwa. Strasznie lubiłem przyglądać mu się przy pracy.

Mogłem wówczas prześledzić cały proces, jak bierze ze skrzynki jakiś wysuszony kawał drewna, zaciska imadło, a później dzieje się magia, bo z czegoś, co każdy inny wrzuciłby do pieca, on potrafił wyczarować coś pięknego.

To szpiegowanie stanowiło także jakąś formę intymnej relacji. Mimo że siedziałem w ukryciu, miałem wrażenie, jakbyśmy spędzali ten czas wspólnie. Nie wiem, dlaczego nie robiliśmy tego otwarcie, to w końcu całkiem normalne, że ojciec uczy syna takich rzeczy. Może to ja z moją odwieczną potrzebą samotności wolałem ten sposób, nie jestem pewien. Dopiero gdy umarł, zdałem sobie sprawę z tego, że w tym mikrym pomieszczeniu zawsze znajdowało się pełno gratów, masa narzędzi, kupa szpargałów, czasem nawet ojciec trzymał materiały na korytarzu lub w domu, ale w tej szafce, w której się chowałem, zawsze było tyle miejsca, żebym się zmieścił.

Koniec końców ojciec uświadomił mi, że wszyscy jesteśmy samotni, że każdy człowiek ma w swoim wnętrzu takie podziemia, w których chowa się przed światem, by spędzać czas tylko ze sobą. Większość ludzi boi się tego miejsca, tak jakby samotność przerażała ich bardziej niż śmierć. Rozpaczliwie starają się ją jakoś zagłuszyć, okiełznać, nie dopuścić, by wstrzyknęła swą gorzką truciznę. Jednak okiełznana potrafi być całkiem przyjemna. To enklawa, w której można się spotkać z samym sobą, bez udawania, masek, konwenansów. Samotność jest najszczerszą przestrzenią, jaka istnieje.

To właśnie alienacja mojego ojca stanowiła kolejny krok do zde-maskowania iluzji szczęścia. Jest ono wszak niezwykle ulotne. Każda radość, każde uniesienie lub zachwyt są z natury krótkotrwałe. A jednak ludzie niezmordowanie dążą do tego, by jak najwięcej tych ulotności w swoim życiu nazbierać. Są w stanie poświęcać całe miesiące i lata na dążenie do osiągnięcia przyjemności, które trwają nie dłużej niż okamgnienie. Może nieco na wyrost, ale

porównałbym to do kwiatu epifyllum ostroplatkowego, który kwitnie raz na rok zaledwie przez jedną noc. A jak żyć w pozostałym czasie? Na przekór powszechnie obowiązującym standardom postanowiłem się zaprzyjaźnić z moją samotnością. Bo czyż nie rozsądniej polubić codzienność, zamiast dążyć do wymaginowanej ekstazy, która jest ulotna niczym Kwiat Jednej Nocy?

– A pańska matka?

– Matka również się nie uśmiechała, w ogóle odnoszę wrażenie, jakby w naszej rodzinie było to zakazane.

Mam niemały problem, by stwierdzić, jak to wyglądało w moim przypadku, bo gdy sięgnę pamięcią, to mój dom odznaczał się jakąś szarością i dojmującym deficytem radości. Każdy człowiek dochodzi do momentu, gdy stara się zrozumieć ciąg przyczyn i skutków, które doprowadziły do powstania tego monstrualnego konstruktu o nazwie JA. Wynika to z cierpienia. Żyjemy, żyjemy, aż tu całkiem niespodziewanie budzimy się w zatrważająco nieznosnym miejscu. Ono nas zgniata, pali, nie jesteśmy w stanie w nim wytrzymać, lecz nie potrafimy zeń uciec. Czysty obłęd, prawdziwa udręka. To właśnie ów ból kieruje nas w stronę poszukiwań. Cierpimy, więc chcemy wiedzieć, jak to się stało, że trafiliśmy w tę upiorną otchłań. Prędzej czy później na ławie oskarżonych zasiadają rodzice. To oni nas wychowują, to oni pokazują nam świat, to im pewnego dnia zarzucimy, że nie wyposażyli nas w jakąś umiejętność lub cechę.

Wspomniałem już o moim Padalcu. Nie da się ukryć, że przemoc w wieku dziecięcym zostawia niezbywalny ślad, jednakże niejednokrotnie zastanawiałem się, dlaczego wybrał akurat mnie. Czy dom rodzinny nie ukształtował mojej osobowości w sposób, który sprawiał, że niejako przyciągałem tego typu zwyrodnialców?

Do dziś nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie: co było pierwsze? Czy urodziłem się z tym poczuciem samotności i wyobcowania, czy to bliscy mnie tak uformowali? To bardzo nieprzyjemne pytanie, gdyż powiązane z poczuciem, że moje życie mogło wyglądać zupełnie inaczej, gdyby zamiast zaciśniętych ust matka obdarzała mnie uśmiechem.

Tak ją zapamiętałem, jakby jej mimika zawsze zdradzała gniew, napięcie, strach i taką zajadłość wręcz. Od tego napinania wszystkich mięśni w późniejszym wieku wyszły jej zmarszczki, jak gdyby doznała kiedyś czegoś potwornego. Koniec końców nie pamiętam czułości ze strony moich rodziców. Ojciec co prawda się nie uśmiechał, jednakże nie przejawiał też tej zajadłości, najczęściej odznaczał się spokojem, przechodzącym wręcz w apatię. Natomiast twarz matki stanowiła arenę, na której harcowały złość, zawziętość i niepowściągnięta potrzeba dominacji. Zachowywała się tak, jak gdyby tą surowością okazywała także miłość. Jej troska wyrażała się przez notoryczne sztorcowanie. Nawet nie wiem, skąd to się u niej wzięło, czy przeżyła jakieś traumatyczne wydarzenie i tym terrorem starała się uchronić mnie przed czymś strasznym, czy sama została wychowana w ten sposób.

Nie chcę powiedzieć, że moi starzy się w jakiś wybitny sposób nade mną pastwili, jedyne, co rzeczywiście zapamiętałem z relacji z nimi, to chłód, bezmierny chłód, który wnika tak głęboko, że dziś, będąc starym facetem, czuję igiełki lodu pod skórą.

IV

Tylko papierosy mają sens. Jedyne one dają mi odrobinę ulgi. Czasem palę jednego za drugim, gapiąc się przez okno. Patrzę na te bloki niczym z apokaliptycznych wizji Beksińskiego i zastanawiam się: czy to nie jest więzienie, czy życie nie jest więzieniem?

Te setki okien w dziesiątkach bloków niczym strwożone oczy wizerają przenikliwym smutkiem. Czy za każdym z nich kryje się ceka? Czy gdzieś tam daleko, po drugiej stronie kwili ktoś równie samotny jak ja? Nie, to niemożliwe, mogę podzielić się chlebem, wesprzeć mądrą radą, ale swojej samotności nie oddam nikomu. Ona jest najbardziej wyjątkowa ze wszystkich. Nienawidzę jej i kocham ją jednocześnie. Jest jak order na generalskiej piersi, ciąży mi, napawając zarazem dumą. Siedzę wraz z moją samotnością w tym oknie i wiem, że ona wcale nie jest najgorsza, wręcz przeciwnie – ona jest owocem szczęśliwych chwil, kwaśnym do bólu, lecz wyrosłym na gruncie niezapomnianych dni.

To, co jest naprawdę dojmujące, to ta świadomość, że w życiu nic mnie już nie czeka. Przypominam stare drzewo, które żałośnie wypuszcza kilka zielonych pędów, by utrzymać przy życiu na poły zeschnięty pień. Często mam dość, mam tak dość, że wpadam w dygot. Trzęsie mną tęsknota i nieodwracalność pewnych zdarzeń. Jednocześnie wiem, że skoro jest za czym tęsknić, to w moim życiu wydarzyło się coś pięknego. Nieraz obezwładniają mnie stany straszliwe, jednak jeśli miałbym przeżyć życie raz jeszcze, wiedząc, że przyjdzie mi dokonać żywota w tej przekłetej samotni, nie oddałbym żadnej z chwil spędzonych z Petro i Aresem. Skazałbym się na te wszystkie cierpienia ponownie tylko po to, by doświadczyć tej zapierającej dech w piersiach mieszanki uczuć.

Nieustannie wracam do czasów, gdy byliśmy razem, zarówno sentymentalnie wspominając, jak i szukając odpowiedzi na pytanie: czy to musiało się skończyć w ten sposób, a jeśli nie musiało, to jak potoczyłyby się nasze życia? W swojej głowie przeszedłem każdą możliwą ścieżkę, którą mogliśmy wyruszyć w świat. Usnułem setki tysięcy opowieści, ponieważ nic poza wyobrażnię mi nie pozostało. Jedynie w swoich wizjach mogę znów ujrzeć

płomienne włosy Petro i gorejące spojrzenie Aresa. Ponownie przeciągnąć wzrokiem po jej gładkiej skórze i jego posągowym ciele. Przynajmniej dzięki tym snom mogę raz jeszcze usłyszeć jej ciepły śmiech i posiedzieć z nim na szczycie wieżowca.

Tylko papierosy przynoszą mi ulgę w mojej celi, którą skrzętnie zapelniam dymem. Spoglądam przez okno i czuję, że jestem w klatce. Szarość, wszędzie szarość, popielaty dym, ołowiane wnętrza, zwodnicza świata platyna, nawet moje myśli mają antracytowy odcień. Moje życie czernieje niczym płuca pożerane przez raka. Bezlitosna rzeczywistość podrzuca skąpe okruchy minionego szczęścia, które zlizuję głodny ukojenia.

Jedyną osobą, na którą czekam, jest wścibska, irytująca i nie-zwykle ponętna dziennikarka. Czasem mi strasznie wstyd. Całe życie poświęciłem sztuce, zawsze kierowałem się wartościami, a teraz rządzi mną prymitywna samcza żądza.

Wytrenowała mnie jak Pawłow psa. Każdego ranka nasłuchuję, czy nadjeżdża. Stary samochód wydaje z siebie specyficzny dźwięk, później następują trzaśnięcie drzwiami i odgłos obcasów na chodniku. Ta sekwencja wprawia mnie w podniecenie, niczym kundel dostaje ślinotoku. Najpierw idę do okna i sprawdzam, czy to na pewno ona. Później poprawiam włosy. Patrzę, czy przypadkiem nie mam poplamionej koszuli, zapinam przedostatni guzik, który zwykle jest rozpięty. Następnie siadam przy biurku i udaję, że pracuję, choć oszukuję sam siebie, gdyż w rzeczywistości czekam, aż do mnie przyjdzie. Zwykle trwa to nieco długo. Wiem, że to moja niecierpliwość, którą staram się skrzętnie ukryć, wydłuża ten czas. Zaczynam coś rysować albo sięgam po książkę, tak by w momencie, gdy w końcu wejdzie, nie sprawiać wrażenia, jakbym jej wyczekiwał. Chcę, by myślała, że jest mi obojętna. Nic tak nie odstręcza kobiet, jak facet, którego mogą mieć na każde skinienie. W duchu sam się śmieję z tych żalosnych zabiegów. Co

taka kobieta jak ona miałaby we mnie zobaczyć? Pocieszenie niesie mi Buchowski, który był strasznym brzydalem, a jeśli wierzyć jego zwierzeniom, potrafił skokietować niewiasty dużo młodsze od siebie.

Ja nie staram się jej uwieść. Na pewnym poziomie wiem, że to niemożliwe. Nie jestem pewien, czy to jakaś blokada we mnie, czy raczej jej dystans. Niemniej od poniedziałku do piątku czekam na dźwięk rżęzącego silnika jej samochodu i wpadam w ten żalosny popłoch, następnie pozoruję oziębłość, by się odwrócić i po raz kolejny się nią zachwycić. Za nią samą nie przepadam zbyt bardzo, natomiast uwielbiam się nią zachwycać. Irytują mnie jej impertynencja, wścibskość, nierzadko brak czytania, jednak w mojej celi nie pojawia się od dawien dawna żadna kobieta o tak zgrabnych nogach. Nie wiem, co to za moda teraz panuje, chodzą te baby w tych luźnych spodniach, w jakichś chodakach, dobrze, że worków na łeb sobie nie założą. Tego, czego tej dziennikarce zarzucić nie można, to braku gustu. Zawsze jest nienagannie ubrana. Zimą nosiła kusicielskie brązowe kozaki lub półbuty na obcasiku.

Pewnego wiosennego, lecz bardzo gorącego dnia wparowała w szpilkach i sukience z dekoltem odkrywającym nieco biustu. Od tamtej pory przeklinałem każdy dzień, w którym nosiła te swoje grube golfy. Kozaki zresztą też zniechęciłem, gdy zobaczyłem to, co zasłaniają. Nogi są bowiem różne – jedna kobieta ma takie, że łydka się zlewa z kostką i do kolana idzie w niemalże linii prostej, u innej przypomina goleń jak u naszprycowanego indyka. Ona miała ostro zarysowaną kostkę, a mięsień płaszczkowaty dochodził swym walcowatym kształtem do eliptycznej łydki. Do tego delikatne kolana, takie z widocznymi więzadłami z tyłu, i odpowiednie uda, to znaczy nie rachityczne, ale też nie nazbyt umięśnione. Gdy tak usiadła i założyła nogę na nogę, czułem się

jak uczeń w liceum na widok ponętniej nauczycielki prosto po studiach. No wstyd, jestem w końcu profesorem Akademii Sztuk Pięknych, ale cóż, prawda jest taka, że niewiele mi z życia zostało, więc mimo świadomości prymitywizmu tych popędów nie tłamszę ich, a nawet je nieco pielęgnuję. Jest to całkiem miły przerywnik od nieustannego umierania.

V

– Wspomnił pan o samotności, wyobcowaniu, a jednocześnie został pan znanym malarzem. Mam wrażenie, że to nie do końca ze sobą współgra, w końcu, żaden artysta nie tworzy w próżni.

– Jest w tym trochę prawdy, a jednocześnie zgodzić się w pełni nie mogę. Prywatnie powiedziałbym, że szczęście jest dla frajerów, jednak oficjalnie pokuszę się o nieco bardziej przyzwoite stwierdzenie, a mianowicie: prawdziwym artystom nie dane jest doświadczyć wielkiego szczęścia. Teoretycznie racja jest po pani stronie, jednak to, czego nie widać, to emocje, talent, charakter.

Gdybyśmy przyjrzeni się sylwetkom twórców, wówczas dostrzeglibyśmy, że ci najwybitniejsi byli prawie zawsze nieszczęśliwi, samotni, dotykały ich różne tragedie, popadali w nałogi, w obłąd. Z pewnością są też tacy, co przeżyli swe dni w miarę statecznie, bez tych dojmujących wahań. Jednakże ci prawdziwie wielcy zawsze cierpieli. Stachura: próba samobójcza, pobyt w szpitalu psychiatrycznym; Baczyński: śmierć w wieku dwudziestu trzech lat; Poświatowska: choroba serca, próba samobójcza, śmierć w wieku trzydziestu pięciu lat; van Gogh: samobójstwo, śmierć w wieku trzydziestu siedmiu lat; Kokoszka: obłąd, paranoja; Szopen: gruźlica, śmierć w wieku trzydziestu dziewięciu lat; Wojacek: alkoholizm, samobójstwo. Hłasko, Komeda, Gałczyński, Buchowski, Lowry, Hemingway – tych

nieszczęśliwców są całe rzesze, chyba tylko Goethe przeżył życie, wymądrzając się we względnym dobrostanie, ale zapewne dlatego nigdy za nim nie przepadałem.

Koniec końców artystą każdy może się nazwać, wystarczy spojrzeć na współczesnych, psia mać, twórców, ale prawdziwych geniuszy jest bardzo niewielu, a zwykle łączy ich pustka, cierpienie, niezgoda na rzeczywistość. Każdy wirtuoz rodzi się z niewytłumaczalnym i nadrzędnym pierwiastkiem, który jest błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. To pewien wewnętrzny przymus, który jest niczym głód – ściska trzewia i nie pozwala o sobie zapomnieć. Można go przez pewien czas ignorować, ale on i tak powróci. Jeśli komuś uda się go stłamsić, wówczas umiera za życia, śmieje się bez radości, je bez smaku, bo nawet najpiękniejsze życie pozbawione twórczości zaczyna wypełniać się pustką. Nie tą, która stymuluje artyzm, ale tą, która swą prozaicznością zatruwa duszę. Prawdziwy artysta, który porzuci swój dar, staje się fantomem, wyduszką, kimś, kto tłamsi swoje powołanie, a przez to żyje w sposób, który nie jest w stanie doprowadzić jego istnienia do prawdziwego spełnienia.

Każdy człowiek, nieważne, czy tę twórczą materię w sobie posiada, musi wypełnić swoje przeznaczenie. To niczym fatum, tej części nie da się wyrugować, wyciąć ani wypalić. Jedynie ona sama, niczym pasożyt, może opuścić okupowaną duszę, lecz i wówczas to straszliwa męka, ponieważ pokuszę się o stwierdzenie, że sztuka potrafi uzależnić. Ona jest jak heroina: gdy raz jej spróbujesz, już nigdy nie będziesz tym samym człowiekiem. Z tego powodu wielu próbuje wkraść się w jej łaski, niektórzy dochodzą nawet na dość wysoki poziom, ale bez tego nadrzędnego pierwiastka są to tylko wyrobnicy. Istnieje bowiem różnica pomiędzy człowiekiem, który stworzy coś dla przyjemności bądź nawet z autentycznej potrzeby, a tym, dla którego tworzenie

jest równe życiu. Pierwszy bez wątpienia może mieć pasję, wizję, a nawet zacięcie, ale drugi nie potrafi bez tego żyć. Dlatego to ten drugi jest bardziej wyjątkowy, właśnie przez gotowość do poświęceń, którą wymusza ów pierwiastek.

Iluz to przede mną żyło pisarzy, malarzy, muzyków, którzy mieszkali w ciasnych, obskurnych mansardach i tworzyli swe dzieła, mając pusty żołądek. Jak wielu mistrzów nie usłyszało za życia jednej pochwały. Setki, tysiące przeklętych artystów, którzy polegli w starciu z metafizycznym fenomenem sztuki. Prawdziwy maestro mówi nie tylko przez to, co stworzy, lecz także poprzez to, jak żył. Wystarczy poznać biografie wszystkich wymienionych, żeby zrozumieć, że za swą sztukę przelali krew i łzy, a nawet poświęcili własne istnienia.

– Czy pan był gotów oddać swoje życie w imię twórczości?
– Czy drzewo może rosnąć bez ziemi? Czy człowiek może żyć bez powietrza? Czy obraz istnieje bez tła? Wszystko jest ze sobą połączone. Nie ma absolutnie niczego, co istnieje tylko dla siebie w odcięciu od całości, nawet pustka trwa tak długo, jak długo po przeciwnej stronie towarzyszy jej pełnia. Tak samo artysta nie tworzy w próżni. Niemniej, podobnie jak w przypadku drzewa, widać jedynie pień i koronę, korzenie z kolei pozostają w ukryciu. Analogicznie u twórcy widoczne są jedynie efekty pracy, poza horyzontem pozostają zaś jego zmagania. Niewidoczne jest zawsze ważniejsze niż to, co pozostaje w zasięgu wzroku. Szczególnie u artysty ten nieuchwytny stan ducha jest decydujący, gdyż prawdziwy twórca generuje sztukę w swym wnętrzu. On ją nie tylko tworzy, lecz także przeżuwa, trawi, ekstrapoluje, podobnie jak sztuka jego. To nieustanne ścieranie się, ścieranie palące, bolesne, wręcz obłąkańcze, ale i piękne zarazem. Dlatego uważam, że owszem, żaden artysta nie tworzy w oddzieleniu od

środowiska, jednak jestem przekonany, że decydujący pozostaje tu ów boski pierwiastek, który każe się zastanowić, czy to rzeczywistość kształtuje artystę, czy artysta kształtuje rzeczywistość.

VI

- Wspomnił pan o Petro i Aresie. Kim byli dla pana ci ludzie?
- To byli ludzie najważniejsi, niemniej ciężko o nich opowiedzieć bez zarysowania pewnego tła.

Najpierw poznałem Petro, jednakże do naszego spotkania doszło w dosyć niecodziennych okolicznościach, a mianowicie podczas próby samobójczej. Tutaj muszę znów wrócić do czasów młodości. Wszystko, co powiedziałem o samotności, uważam za prawdziwe, jednak do pewnych prawd dochodzi się latami. W moim przypadku były to lata pełne bólu. To, że dziś mówię o wyobcowaniu z pewną lekkością, nie oznacza, że zawsze tak to wyglądało. Zapewne brzmię, jakby przepełniała mnie duma z tej mojej odmienności i może obecnie tak rzeczywiście jest. Takowe przeświadczenie nie wzięło się znikąd, stanowi wynik wielu lat pewnej walki ze światem, którą przyszło mi toczyć. Gdy już opuściłem podstawówkę, rozpocząłem naukę w liceum. Tutaj trzeba zaznaczyć, że moja młodość nie należała do pospolitych.

Jakkolwiek w szkole przyswoiłem sobie ogrom wiedzy, tak w sensie społecznym nie wykazywałem nadmiernych zdolności. Odmawiałem odpowiedzi ustnych przy tablicy, zasadniczo w ogóle nie chciałem się odzywać. Stało się to na tyle znamienne, że rówieśnicy nadali mi przydomek Niemowa, a pedagodzy wraz z rodzicami poważnie rozważali przeniesienie mnie do szkoły specjalnej. Tę dosyć poważną sytuację udało się zażegnać, gdyż miałem ponadprzeciętne wyniki w nauce. Uznano więc, że

szkoła specjalna może mnie uwstecznić w zakresie intelektualnym. Nauczyciele zrezygnowali z odpytywania mnie, a ja starałem się prześlizgnąć z klasy do klasy, mniej lub bardziej świadomie, stawiając sobie za punkt honoru ograniczenie interakcji międzyludzkich do całkowitego minimum.

Sprawa zaczęła przybierać nieco inny wymiar w okresie dojrzewania. Ludzie to takie same zwierzęta jak każdy inny gatunek, a tym, co rządzi ich życiem, wcale nie jest jakiś bóg czy los, lecz hormony. Nam się wydaje, że jesteśmy wyjątkowi, bo potrafimy tworzyć rzeczy niezwykle, jednak kierują nami dokładnie takie same instynkty jak świnia czy wilkiem. Nie ma tutaj wielkiej różnicy, a jeśli jest, to przejawia się ona jedynie w ekspresji tych popędów. I tym jakże prozaicznym sposobem natura zagięła parol na moją odmienność, wprowadzając mnie w prawdziwy obłęd, albowiem moje ciało zaczęło dojrzewać, potrzebowało kontaktu fizycznego, ujęcia pewnej energii, z kolei lata bycia milczkiem, odludkiem, powiedziałoby się: *kompletnym odpalem*, uniemożliwiały mi nawiązanie pożądanых relacji.

Chcąc nie chcąc, musiałem opuścić swoją skorupkę i zrobić użytek z otworu gębowego. Jednak z rozmową, jak z każdą inną umiejętnością – jeśli nie praktykujesz, to efekty okażą się mizerne. Nie inaczej było w moim przypadku. Dorastająca młodzież bywa okrutna dla rówieśników, którzy nie spełniają wymogów towarzyskich. Jeśli społeczność uzna cię za niegodnego uwagi człowieka, kogoś, z kim interakcja jest towarzyskim samobójstwem, zmyć z siebie ten eremicki stygmat niepodobna. Ciało wręcz krzychało o bliskość, o dotyk, o rozmowę czy choćby cień uwagi ze strony płci pięknej, ale nie znalazła się żadna niewiasta chętna wystawić się na pośmiewisko i dołączyć do grona pariasów. Na tym polegał ów obłęd. Dojrzewający chłopak, z którego hormony wręcz wyciekają, którego seksualność kipie, a który co najwyżej

może pofantazjować wieczorem pod kołdrą. Oszczędzę pani szczegółów, myślę, że jest to w miarę oczywiste, co czuje taka osoba.

Nie brzmi to jak tragedia stulecia, lecz w rzeczywistości stanowiło poważny problem. W okresie dojrzewania samotność żądliła mnie wściekle niczym gigantyczna osa. Przeszywało mnie przekonanie, że nigdy nie zaznam bliskości, i niczym skórę drapałem swoją jaźń potwornymi wyrzutami, zostawiając na niej bolesne strupy. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Każda próba nawiązania znajomości kończyła się fiaskiem. Żadne strategie nie przynosiły pożądanego efektu. Pragnienia pęczniały, aż nabrzmiały do takich rozmiarów, których nie mogłem znieść. Fantazje seksualne stały się dręczącą obsesją, niemożność ich zaspokojenia – paranoją. Samotność, którą jako dziecko uwielbiałem, zgotowała mi piekło na ziemi. Palilo mnie poczucie desperacji, wykańczały marazm i totalna anhedonia. A w tym wszystkim nie skrzył się nawet cień nadziei, że cokolwiek może się kiedyś zmienić. Nie wiem, czy udało mi się dostatecznie zarysować trawiące mnie wówczas szaleństwo, natomiast osiągnęło ono na tyle dojmujący pułap, że postanowiłem ze sobą skończyć.

W książkach romantyczny bohater zwykle jest gotów na największe męki dla kilku chwil z ukochaną. Literatura okaleczyła niejednego człowieka, malując przed nim wzniosłe wizje. Zaczynamy rozumieć to dopiero wtedy, gdy cierpimy prawdziwe katusze. Pojawia się wówczas pytanie: czy dla tych kilku drobinek złoto tego kruszcu warto wypić morze bólu? Wtedy, gdy rzeczywistość staje się nie do zniesienia, gdy każdy dzień jest męczarnią, zastanawiasz się: czy opłacało się kochać tak na zabój? Czy trzeba było karmić te złudne fantazje, zatracać się w najgłębszych uczuciach, spalać się w ogniu nieprzebranych pragnień? Nie widzimy tego, że podobnie jak wszystko, co dobre, się kiedyś kończy, tak samo

wszystko, co złe, ma swój kres. Jednak w człowieczej naturze leży krańcowość, taki emocjonalny ekstremizm. Tak samo jak przyzwyczajamy się do dobrego, podobnie zatapiamy się w cierpieniu.

Każde uczucie ma swoje przeciwieństwo, nie ma miłości bez nienawiści, nie ma radości bez bólu. W ludzkiej percepcji każde z tych odczuć stanowi osobny byt, jednak w rzeczywistości to różne odcienie tej samej emocji. Nienawiść jest pełna braku miłości, smutek przepełnia tęsknota za szczęściem. Większość z nas przesuwając znacznik na osi uczuć z jednego krańca na drugi. Im bardziej kochamy, tym bardziej potrafimy znienawidzić, im większe szczęście było nam dane, tym w większy niebyt popadamy po jego stracie. To, co przychodzi nam najtrudniej, to bycie pośrodku tej uczuciowej sinusoidy. Nikt nie uczy nas delectationa się małymi cudami każdego dnia, którym tak daleko do tych wielkich literackich uniesień. Brak nam tej umiejętności, by życiu zaufać, poddać mu się z wiarą, że zmierza w dobrą stronę. Zamiast postawić żagiel i cieszyć się rejssem, zaczynamy kolebać tą łajbą, niejako pragnąc dostarczyć sobie większych emocji.

Czy rzeka się zastanawia nad tym, czy zmierza we właściwym kierunku? Czy drzewo decyduje, na jakim gruncie wyrośnie? Te kwestie prześladują mnie od lat. Czy człowiek powinien się życiu opierać, czy poddać się jego nurtowi? Dylemat ludzkiej sprawczości, prowadzący do znaku zapytania, czy ta niezgoda na rzeczywistość oraz ból, jaki niesie ze sobą, ma jakikolwiek sens.

Od zawsze miałem poczucie fatalizmu, jakiejs przegranej zapisanej w moich genach, a jednak nie potrafiłem się z nią pogodzić. Wciąż toczyłem walkę. Walkę nierówną, przekłętą, jakoby z góry skazaną na porażkę, lecz była to również walka piękna, emocjonująca, bogata w poczucie sensu. Jeśli coś miało dla mnie sens, to właśnie przeciwstawianie się życiu. Może to głupie, ale ta wiara, że mamy potencjał, by zmienić rzeczywistość, to najbardziej

ludzka ze wszystkich cech. Walczyłem tak długo, aż zabrakło mi sił, to wyczerpanie osadziło mnie w mojej samotni. Jednak nim wzięto górę, przeżyłem każdą istniejącą emocję, paradoksalnie wszystko zaczęło się również od wycieńczenia i rezygnacji, które zmusiły mnie do konfrontacji z – jak to kiedyś stwierdził Albert Camus – *jedynym prawdziwie poważnym problemem filozoficznym*: samobójstwem. Musiałem orzec, czy życie jest warte trudu, który ze sobą niesie.

Pamiętam ten ciepły sierpniowy wieczór, bodaj jeden z ostatnich dni miesiąca. To czas, gdy młodzież wraca z wakacji i włóczy się po osiedlach, krzycząc i śmiejąc się wniebogłosy. Dla mnie to były ostatnie wakacje między liceum a studiami na Akademii Sztuk Pięknych. Nawet nie wiem, jak je spędziłem, dokładnie pamiętam tylko ten wieczór. Od jakiegoś czasu zacząłem eksperymentować z alkoholem. Podpijałem to, co znalazłem w domu. Z początku nie mogłem pojąć, czemu ludzie piją te obrzydlistwa. Odrzucał mnie smak zarówno piwa, jak i wina, nie mówiąc już o wódce. Miałem w sobie jednak jakąś masochistyczną manierę, nie lubiłem siebie i mimo że organizm aż się wzdrygał po wypiciu kieliszka wódki, w dalszym ciągu praktykowałem ten proceder, jak gdybym chciał się ukarać za to, że się nie udałem światu.

Pewnego dnia starzy gdzieś wyszli i nadarzyła się sposobność swobodnego spożywania trunków ukrytych w barku ojca. Wmuśliem w siebie całe piwo, po czym zaprawiłem je trzema kieliszkami nalewki malinowej. Wówczas zrozumiałem, dlaczego tak wielu ludzi korzysta z tego specyfiku. Coś puściło, nie do końca wiem, gdzie dokładnie, czy w głowie, czy w trzewiach się to coś znajduje, ale przez kilka chwil rozpierała mnie jakaś radość przechodząca w euforię. Zaszumiło mi we łbie, a otumaniony umysł na moment przestał się zajmować roztkliwianiem się nad sobą. Trawiące mnie co dnia żale i frustracje zdawały się ulotnić. Wstąpiła we mnie jakaś

beztroska. Zamknąłem się w pokoju i zacząłem wykonywać dziwne ruchy, które chyba miały być jakąś formą tańca. Śmiałem się w poduszkę, a później zapadłem w sen bez dogłębnej analizy wszechświata i rozdrabniania swej nieudolności. Nic więc dziwnego, że całkiem szybko zaprzyjaźniłem się z butelką.

Było to swego rodzaju objawienie, nie do końca wtedy w pełni zrozumiałe, gdyż po jakimś czasie miałem wrażenie, że stare frustracje zaczynają kipieć we mnie jeszcze mocniej. Oczywiście nie mogłem opróżnić ojcowego barku, licząc na to, że nikt się nie spostrzeże. Podobnie, podkradając pieniądze z portfela matki, ciężko wziąć tyle, by uzbierać na coś konkretnego. Najdłuższe wakacje, jakich człowiek może doświadczyć, czyli te między maturą a studiami, wystarczyły, by wyrobić w sobie potrzebę zagłuszania niechcianych emocji. Te z kolei skumulowały się właśnie na koniec sierpnia, gdy włożyłem się po osiedlu i mijałem te wszystkie rozesmiane, rozgadane dzieciaki.

Ja z kolei szedłem sam, nie tylko bez kumpli, przyjaciół czy dziewczyny, ale również bez wspomnień pierwszych pocałunków, fantazji powodowanych przez zakochanie, obietnic ponownego spotkania i całej tej nabrzmiałej niesamowitości skumulowanej w lekkiej woni schyłku lata. Oni przekrzykiwali się jeden przez drugiego, opowiadając najzabawniejsze historie. A jedyne, co ja mogłem przywołać, to historie spisane na kartkach książek, przygody rodem z *Lata leśnych ludzi*, gdyż spędziłem ten czas w wieży mojej samotności.

To poczucie odcięcia podsyciło tłumioną przez ostatnie miesiące dysforię. Wróciłem do domu. Zamknąłem się w pokoju. Mimo nalegań matki nie przyszedłem na kolację. Czekałem, aż rodzice pójdą spać, skrzętnie rozdmuchując bolesne płomienie. Już wcześniej niejednokrotnie nawiedzała mnie frustracja, że jestem jak ten Santiago walczący pośrodku morza z olbrzymim

marlinem. Tego wieczoru osiągnąłem temperaturę wrzenia. Zakotłowało się we mnie. Starzy jedli kanapki w salonie, a ja tym razem nie śmiałem się w poduszkę jak po pierwszym upojeniu, ale płakałem niczym dziecko. Wylewały się ze mnie niezrozumienie, żal, brak nadziei na normalne życie. Gdy w końcu zgasło światło w korytarzu, odczekałem jakiś czas i zakradłem się do barku ojca. Już bez żadnych oporów sięgnąłem po tegoroczną nalewkę, która nie zdążyła jeszcze odstać przepisowego czasu. Wróciłem do pokoju i jak wytrawny pijak pociągnąłem tęgi łyk z gwinta.

Niestety to jakże niedawne objawienie przybrało nieco inny odcień. Barwy lekkości i szczęścia się zatarty, kierując w stronę rezygnacji i chęci ucieczki. Dotarło do mnie, że tak się nie da żyć. Znajdowałem się u progu drugiej dekady życia, a chwile szczęścia byłem w stanie policzyć na palcach jednej dłoni. A przecież o czasie dzieciństwa i młodości mówi się jako o tym najpiękniejszym i najbardziej beztróskim. To z kolei przywiodło całkiem zasadne pytanie: co będzie dalej, skoro już na tym etapie życie uwiera mnie tak bardzo, że aż ciężko złapać dech?

Potrzeba znalezienia odpowiedzi niczym mrowienie w ręce nie pozwalała o sobie zapomnieć. Mój umysł wpadł w jakiś otępiały dygot. Tym razem alkohol, zamiast mnie wyciszyć, spotęgował te uczucia rozognione miesiącami pogłębiającej się martwoty. Wpadłem w swój pierwszy prawdziwy obłęd. Zacząłem chodzić po pokoju i gadać pod nosem, aż stwierdziłem, że muszę wyjść. Nosiło mnie. Chciałem rozedrzeć sobie pierś, wyrwać mózg, krzyczeć tak, by zedrzeć gardło. Szedłem przed siebie, nie wiadomo jak długo, aż w końcu opadłem z sił. Zobaczyłem dziewczynę wchodzącą do bloku. Podbiegłem i złapałem drzwi. Wszedłem na ostatnie piętro wieżowca. Odszukałem właz prowadzący na dach. Wdrapałem się, podszedłem do krawędzi i na wskroś roztrzęsiony się rozplakałem. Trwało to kilka chwil, aż łzy zmieniły

się w rezygnację. Pociągnąłem jeszcze z butelki i jakaś niepodważalna rezygnacja wpełzła do mojego serca, rozsiewając pewność, że nie ma dla mnie miejsca na tym świecie, że nie chcę dłużej zmagać się z samotnością, ostracyzmem, z samym sobą i z tym całym emocjonalnym bajzlem.

– Chcesz skoczyć? – zapytała, co nieomal spowodowało palpitacje i jednocześnie przerwało samobójczą malignę.

Mimo że jeszcze kilka chwil temu autentycznie miałem zamiar postawić krok w pustkę, nagle straciłem poczucie równowagi, przeszył mnie atawistyczny lęk wysokości. Wybiła mnie z rytmu i zacząłem się chwiać. Dopiero po chwili złapałem pion i zwróciłem zdziwiony wzrok w jej stronę. Szczupła sylwetka zdawała się nieprzyzwoicie powabna. Jej zmysłowość podkreślała klasyczna sukienka przed kolano z wysokim dekoltem w kolorze kraplaku. Smukłą, powiedziałbym nawet arystokratyczną, szyję zdobiła elegancka biżuteria ze złotego srebra. Mówiąc ogólnie: kompletnie nie pasowała do dachu szarego, odrapanego wieżowca.

Nie wiem, ile się na nią gapiłem, bo oprócz dystyngowanego ubioru, podobnie jak większość ludzi posiadała jeszcze głowę i włosy, tyle tylko, że to nie były jedynie głowa i włosy, lecz istne dzieło sztuki. Jej figura również nie wzbudzała żadnych zastrzeżeń, ale na tę twarz mógłbym patrzeć całe życie. W formie absolutnie doskonała: ani nazbyt obła, ale też nie kanciasta. Bez błędnie łączyła linie z krągłościami. Pod delikatnymi pagórkami policzków rozciągały się meniskowe cienie, urozmaicając boczna część jej twarzy, nad którą w centrum dominował klasyczny u trzonka nos, wykończony zgrabnym jak truskawka zwieńczeniem. Całość połączona prostą, wyrazistą linią szczęk była ozdobiona drobnymi uszami niczym płatki białej róży.

Może jej zjawiskowość ktoś zdołałby podważyć, gdyby nie oczy, które skrzyły się mimo nocy. Ciężko określić ich kolor, miały

czarne obwódki, które stanowiły gniazdo dla wezbranego urodzaju barw. Od zewnątrz dominowała ciemna zieleń, ale nie taka zgniła, lecz bardziej szmaragdowa, błyszcząca wręcz. Ten blask rozlewał się ku źrenicom mieszkanką od malachitu aż po turkus, ze szlachetnymi zdobieniami mieniących się złocistością pręcików, choć to dostrzegłem dopiero wtedy, gdy dane mi było zajrzeć w te oczy z bliższej odległości.

Włosy sięgały jej za łopatki i znów nie sposób określić ich odcienia: jasny kasztan, sjena palona? Trochę takie, jak gdyby zanurzyć słomę w bursztynowym piwie i strzepnąć ją gwałtownym ruchem. Do tego jej skóra: niby oliwkowa, a jednocześnie lśniąca. Jako całość jawiła mi się niczym istota nie z tego świata. Nie chcę powiedzieć anioł, ale jakaś wyższa forma ludzkiej ewolucji. Te jej oczy pełne ikry, te włosy płonące i skóra niczym alabastrowa kąpiel. Płomień i mleko, żądza i spokój, blask i tęsknota, Bachus i Ejrene połączeni w jednym zjawiskowym ciele. Mimo sytuacji patrzyła na mnie z jakimś cynicznym zabawieniem.

– Skocz, nigdy nie widziałam człowieka lecącego z tej wysokości – powiedziała, spoglądając w dół, głosem dźwięcznym i zgoła radosnym, tak jakby proponowała deser w kawiarni albo partyjkę w chińczyka.

Nie wiem, czy znała się na psychologii, ale rzeczywiście zrobiło mi się dziwnie. Jeszcze przed chwilą powziąłem decyzję, by zakończyć życie. Jej całkiem naturalny ton, który w tej konkretnej sytuacji nabrał prześmiewczego wydźwięku, sprowadził mnie z wyżyn rozpaczy do poziomu groteski.

– Co tak głupio patrzysz? Jestem malarką, nigdy nie widziałam, jak ktoś leci z takiej wysokości. Jak skoczysz, to obiecuję, że cię namaluję, a raczej twoje plecy. Co prawda umrzesz, ale dla sztuki będziesz nieśmiertelny.

Poczułem się zawstydzony.

– Ty jesteś niemowa – dodała bez znaku zapytania, tak jakby wiedziała, że miałem takie przezwisko.

Ja w dalszym ciągu skonfundowany gapilem się na nią i dopiero po chwili zrozumiałem, że uraczyła mnie kolejnym sarkazmem.

– Nie, nie jestem, ale chyba nie wiem, co powiedzieć – odrzekłem już na głos.

– Ty nie wiesz, co powiedzieć? Przed chwilą wyglądałeś, jakbyś miał nadprzyrodzone moce – odparła, spoglądając na przestrzeń pod nami i dodając ciepły uśmiech, który był tak uroczy, że jakoś naturalnie kąski moich ust również się uniosły.

Ona to podchwyciła i zaczęła się śmiać, wywołując tę samą reakcję u mnie. Jestem przekonany, że tak spontanicznej i niewymuszonej radości nie uświadczylem przez wiele ostatnich lat, a jednocześnie jej promień rozświetlił nie tylko moją twarz, lecz także serce, w dodatku w tak kuriozalnej sytuacji. Tak właśnie poznałem Petro, w dniu, w którym chciałem ze sobą skończyć.

– Petro to skrót czy pseudonim?

– Petro to skrót pseudonimu, od Petronelki. Okazało się, że studiujemy na jednym roku, i gdy mogłem się jej przyjrzeć w świetle dziennym, dostrzegłem urocze piegi rozlane wokół jej nosa, a petronelka to w gwarze poznańskiej biedronka. Tyle że Petronelka wydawało mi się trochę bardziej niecodzienne, nie tak pospolite jak Biedronka, a tak niezwykła osoba jak ona musiała mieć także niezwykły pseudonim. Choć dosyć szybko okazał się on zbyt długi, a zatem nieporęczny, więc po jakimś czasie podzieliliśmy go na pół, stosując wymiennie Petro i Nela. Ona chyba wołała to twardsze – Petro, ja z kolei uwielbiałem mówić do niej Nela, Nel, to brzmiało jak gładzenie policzka kciukiem. Do dziś przed zaśnięciem wspominam jej doskonałość i tęsknię za nią, nie za

doskonałością, lecz za jej obecnością, którą zapraszam do każdego z mych snów, wypowiadając przed zaśnięciem ciche: *Kocham cię, Nel.*

VII

Ares? Ares był kimś więcej niż tylko człowiekiem – był bogiem. Z Petro łączyła go owa doskonałość rodem z antycznej rzeźby. Na podstawie jego ciała studentów medycyny można by uczyć anatomii – był szczupły, ale umięśniony, nie miał grama zbędnego tłuszczu. Uosobienie męskości – to określenie najlepiej oddające jego aparycję, ale nie w sensie tej obecnie lansowanej popkulturowej papki, gdzie prawdziwy mężczyzna to szkielet obwieszony stertą mięśni. On był po prostu piękny i mówię to jako heteroseksualny mężczyzna. Zdarzają się bowiem tacy ludzie, jak gdyby ulepieni z innej gliny. Ich ciała są bardziej smagłe, skóra delikatniejsza, oczy mają intensywniejszy żar, a ich ruchy są tak płynne, że zanim zdążą się odezwać, mimowolnie wzbudzają w obserwatorach naturalny podziw.

Ares miał gęste włosy aż do ucha, które spływały niby bezwładnie, a jednak czasem odnosiło się wrażenie, że odgrywają jakąś rolę. To lepiej widoczne u kobiet, gdyż ich natura jest dużo bardziej kusicielska. Nela często, jak rysowała, przeczesywała ręką włosy. Ten ruch zasadniczo nie miał praktycznego zastosowania, gdyż one po chwili i tak znów opadały. Niemniej ów gest dodawał jej tyle powabu, że inni ludzie, nawet spędziwszy w łazience długie godziny, nie osiągnęliby takiego uroku, który ona stwarzała od niechcienia. To takie coś, co się po prostu ma albo czego się nie ma. Te jej zabawy włosami można przyrównać do spektaklu, który godzinami mogłem podziwiać. Włosy z lewej na prawą; z prawej na lewą; za ucho prawe, za ucho lewe;

połowa włosów spięta w kucyk na środku głowy, reszta zaś luźno opada; fryzura na cebulę z grzywką; włosy spięte z tyłu kłamrą, która leniwie zaczynała osuwać się w dół, albo energicznie zwinęte i przeszyte pewnym ciosem zadany ołówkiem.

Podobnie było z Aressem, tyle że on nie miał aż tylu kombinacji. Jednakże, gdy przeczesywał swoją błyszczącą, czekoladową czuprynę, wprawiało mnie to w pewien podziw. A może czułem lekką zazdrość? Tak, Ares to człowiek, któremu ciężko było nie zazdrościć. Nawet jeśli nie starał się komukolwiek specjalnie zaimponować, to tę jego wyższość odczuwało się niejako podskórnie. Tak jak mówiłem, ludźmi rządzą hormony. Ares wcale nie musiał nikomu swej wyższości udowadniać, wystarczyło, że wszedł, i nikt nie miał wątpliwości, kto jest najbardziej męskim facetem na sali. Sprężysty krok, nonszalancko rozpięty guzik koszuli, witalność młodego ciała, ostro zarysowana żuchwa i niepokorne spojrzenie składały się na aurę, która biła od niego, obwieszczając niejako jego dominację.

Zaintrygował mnie od pierwszego spojrzenia. Beżowy golf, czarny płaszcz, buty skórzane, niby niewypolerowane, a jednak eleganckie w jakiś zawadiacki sposób. Spóźnił się, ale wszedł jak gdyby nigdy nic, nawet nie przeprosił, jedynie spojrzał na Petro. Zrobił to tak, jakby wiedział, gdzie będzie stała, i tym gestem komplementował jej urodę. Ona z pozoru w dalszym ciągu malowała, ale jestem pewien, że poczuła jego wzrok wraz z tym, co ze sobą niósł. Po zajęciach wyszedł, nie zamieniwszy z nikim nawet jednego zdania, jakby tą pewnością siebie na granicy arogancji znał teren. Tak czy inaczej, robiło to spore wrażenie. Zdominował grupę, po prostu wchodząc i wychodząc, bez jednego słowa, bez jednej interakcji, nawet bez chęci udowodnienia komukolwiek cze-
gokolwiek.

Od razu poczułem się żałośnie, wspominając niedawne umi-
zgi, by ktokolwiek przez ułamek sekundy poświęcił mi choć gram

uwagi. Ares zrobił to, co mnie nie udawało się przez całe lata, zasadniczo od niechcenia, jak ziewnięcie czy podrapanie się po głowie. Zastanawiałem się jednak, czy oprócz wyglądu ma także inne przymioty, za które ceni się ludzi. Szybko się okazało, że nie był tylko pięknišem, ale także człowiekiem pełnym ikry, tak zwanym urodzonym przywódcą.

Nasze pierwsze spotkanie sam na sam miało miejsce jakiś czas później. Zajęcia się skończyły, wszyscy opuścili salę, niektórzy ze sobą rozmawiali, tylko rachityczna, rudowłosa Gabi o przestraszonych oczach wyczierających zza wielkich okularów niezdarnie pakowała swoje narzędzia. Posłałem jej spojrzenie, co wzbudziło, jak mniemam, jeszcze większy przestrah w mysiej postaci, i minąwszy grupkę rozgadanych studentów, skierowałem się bez słowa ku schodom. Od rozpoczęcia studiów przyjąłem inną taktykę – przestałem nadskakiwać ludziom. Co prawda nie starałem się być jakoś szczególnie odpychający, ale nie miałem zamiaru zebrać o uwagę. Dotyczyło to wszystkich oprócz Petro i Aresa, którzy wzbudzali we mnie niemałą fascynację. Tego dnia gdzieś zniknęli, a ja odczułem jakąś niezrozumiałą potrzebę, by ich odszukać.

Zszedłem na parter, udałem się w kierunku dyżurki i nagle coś mnie tknęło. Cofnąłem się i zszedłem do piwnicy, w której znajdowały się różne magazyny. Nigdy wcześniej nie byłem w tym miejscu, ale tego dnia coś kazało mi tam zejść. Ciemne korytarze, stalowe drzwi, wilgoć i nagły błysk latarki. Serce zabiło mi nieco szybciej, ale mimo wszystko skierowałem się w stronę światła. Flesz nie powtórzył się ponownie. Ciemność gęstniała z każdym stawianym przeze mnie krokiem i z ledwością rozpoznawałem otaczające mnie kształty. Zbliżałem się do zakrętu i wydawało mi się, że tli się za nim coś czerwonego, nie lampka, taka jak w ciemni fotograficznej, ale jakiś żar. Zanim zdążyłem się zastanowić, co to takiego, dostrzegłem twarz Aresa

rozświetlaną przez błysk papierosa. Jego ostre rysy w tych szarych z domieszką burgundu sprawiały makiaweliczne wrażenie. Posłał mi nienawistne spojrzenie. Pierwsze słowa, które do mnie wypowiedział, brzmiały:

– Jesteś ubeikiem?

Zamurowało mnie na tyle, że przez chwilę czułem, jakbym stracił dech.

– Nie – wymamrotałem.

Nagle on zapalił latarkę, skierował oślepiający strumień światła prosto w moją twarz, jednocześnie doskoczył do mnie, pchnął na ścianę i przydusił przedramieniem.

– Jesteś czerwony?

– Nie.

– To czemu mnie szpiegujesz jak ubecki pies?

– Ja... ja nie chciałem.

– A co chciałeś?

– Nic. Nie wiem.

– Mów prawdę.

Stęknąłem. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Puścił mnie, lecz tylko po to, by sięgnąć po nóż. Przyłożył mi go wprost do piersi, wcale nie delikatnie, na żarty, lecz wciskając mnie z powrotem w ścianę.

– Albo mi powiesz, kto cię nasłał, albo utnę ci jajca.

Z początku mówił powoli. Schował latarkę do kieszeni płaszcza, a później drugą ręką raptownie chwycił mnie za przyrodzenie. Poczułem się dokładnie tak, jak w podstawówce, gdy dręczył mnie Padalec. To samo bolesne ciągnięcie od jelit aż do jąder.

– Aaa! – krzyknąłem z prawdziwym przerażeniem. – Przysięgam, nie jestem ubeikiem!

– Z nożem na jajcach każdy by tak powiedział. Czemu mnie śledzisz?

– Ja, ja chciałem się z tobą zakumplować.

– Zakumplować? Łazisz za prawie nieznanymi ludźmi do ciemnych przyziemi, żeby się z nimi zakumplować? – zapytał, a ja nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Zacisnąłem mocniej pięści i szczękę, starając się wytrzymać napór jego przedramienia.

– Zostaw. Już mu wystarczy. – Z ciemności wyłonił się głos Petro. tak bardzo niepasujący do tej posępnej przestrzeni.

On tylko się zaśmiał, jakoś tak nieprzyjemnie, i powoli atmosfera zaczęła się rozluźniać.

– Więc chciałeś się zakumplować?

Potwierdziłem kiwnięciem głowy. On na chwilę się zamyślił, jakby analizował wszystkie za i przeciw.

– Wiesz co, to dobrze się składa, zawsze chciałem mieć przyjaciela. Takiego na śmierć i życie. I wiesz co? Ty zostaniesz tym przyjacielem.

Zrobiłem chyba głupawą minę.

– To jak? Wchodzisz w to?

Przytaknąłem nerwowo.

– Co to niby ma być? Strzepujesz strach z powiek czy zawierasz przymierze?

– Chcę.

– Ale ja mówię poważnie. Potrzebuję przyjaciela, który rzuci się za mną w ogień.

Znów potwierdziłem ruchem głowy, przygwożdżony tym razem jego miazdzącym spojrzeniem.

– Tylko pamiętaj, jeśli mnie zdradzisz, to wyrwę ci serce. – Mówiąc to, ponownie przycisnął mi nóż do piersi.

– Prędzej umrę, niż cię zdradzę – odparłem jak na siebie nad wyraz pewnie.

On uniół dłoń i przeciął jej wnętrze.

– Przypieczętujemy to przymierze krwią, drogi przyjacielu – powiedział i podał mi ostrze.

Wziąłem je posłusznie i bez wahania przesunąłem nim po swojej dłoni. Później wydało mi się to trochę tandetne, ale wówczas przeszły mnie ciarki podniosłości. Wyciągnął rozciętą rękę w moją stronę, ująłem ją, a lepka krew połączyła nasze losy.

– Jak Winnetou i Old Shatterhand – powiedział i zaczął się serdecznie śmiać. Objął mnie i pociągnął w głąb korytarza. – Widzisz, wodzu, my mamy tu niezgorszą misję. Ta misja nazywa się wolność! – zakrzyknął i rzucił snop światła wprost na niedokończony malunek przedstawiający huzara, który zamiast skrzydeł miał flagę Solidarności.

Jakiś czas później powiedział do mnie: Ty będziesz Artes, a ja będę Ares. Ty będziesz tworzył, a ja będę walczył. Jednak już wtedy w tej ciemnej piwnicy wiedziałem, że jesteśmy niczym dwie ręce tego samego człowieka i nawet śmierć nas nie rozdzieli.

VIII

O takich ludziach jak on mówiło się człowiek legenda. To o nim powinna pani napisać książkę, nie o mnie. Ares miał niezwykle dar zjednywania sobie ludzi. Wybranim posyłał uśmiech, na innych nie zwracał uwagi. Jednego dnia powiedział komuś coś miłego, innego go ignorował. Miałem wrażenie, że jego walutę stanowiła uwaga. To trochę jak w hazardzie – przy okienku wymieniasz pieniądze na żetony, później grasz i nie ma znaczenia, czy wygrasz, czy przegrasz, gdyż ważniejsze są emocje, które towarzyszą grze. Podobnie Ares wklewał towarzystwo swoją atencją. Niczym hazardzista ryzykował, inwestując swoje uznanie. Gdyby został odrzucony lub poniżony, mógłby stracić w oczach społeczności. On jednak obstawiał bezbłędnie. Jednemu